www.parafia-wierzenica.pl

Znak Dobra

Wierzeniczenia

9 [114] 2014

1 listopada dzień Wszystkich Świętych

Serdecznie witam, pozdrawiam i błogosławię wszystkich przybywających na nasz wierzenicki cmentarz. Dziękuję za każdą modlitwę zostawioną tutaj w intencji naszych drogich zmarłych. Dziękuję za dbałość o porządek przy mogiłach bliskich. To jest znak naszej miłości, naszej pamięci i kultury osobistej.

W dzień Wszystkich Świętych gromadzimy się o 14.00 na cmentarzu na Mszy Świętej. Jest ona dziękczynieniem za naszych bliskich, spoczywających w tej ziemi, którzy dziś uczestniczą już w świętych obcowaniu. Być może to właśnie ja stoję przy mogile takiej osoby. W naszych sercach jest żywa pamięć o tych co odeszli. Z tego co człowiek ma, zostaje tylko to co ma przed Bogiem: nie to co kupił, sprzedał, zarobił itd. ale wiara i płynące z niej czyny miłości. Wiele osób było dla nas cichymi znakami świętości. Mając wspomnienie o ich życiu, uczymy się czegoś w swoim życiu: odkrywania swojej drogi wiary i pobożności.

Tego dnia chcemy też wyznać wiarę w wielkie Miłosierdzie Boże. W znaku ufności w to miłosierdzie polecamy wszystkich naszych bliskich zmarłych. Na myśli mamy szczególnie tych, o których wiemy, że życie ich szło nie zawsze prostą drogą. Nie chcemy oceniać osób, których życie jest czasem przeszłym dokonanym. Modlimy się wstawiając u Boga aby był dla nich Ojcem Miłosierdzia. Sami mający w sercu swoim poczucie słabości i to, że także nasze ścieżki są czasem drogami krętymi, tego miłosierdzia dopraszamy się też dla siebie.

Oprócz dnia Wszystkich Świętych jako wspólnota miejsca gromadzimy się na cmentarzu na Mszy św. także w dawne święto Wniebowstąpienia Pańskiego o 18.30. W 2015 roku wypadnie to w czwartek 14 maja. Także w wigilię uroczystości Wniebowzięcia NMP 14 sierpnia o 22.00. Każdorazowo w Wielki Piątek przychodzimy na cmentarz o świcie, wychodząc z kościoła o 4.45 i rozważając stacje drogi krzyżowej. Ostatnie części łączymy zawsze z modlitwą za zmarłych.

Bieżący rok w życiu naszej wspólnoty lokalnej upłynął pod znakiem jubileuszu 200 – lecia urodzin Augusta hr. Cieszkowskiego. Od marca do września trwały różnorodne obchody znaczone obecnością wielu dostojnych gości. Zasięg tych uroczystości wykroczył daleko poza Wierzenicę, z czego oczywiście jesteśmy dumni. **Naszym małym ale trwałym znakiem udziału w tych obchodach jest numer specjalny „Wierzeniczeń" poświęcony w całości Augustowi hr. Cieszkowskiemu i miejscom, które są z nim związane. Numer ten został wydany w większym nakładzie i cały czas można się o niego dopytywać. Wydanie to traktujemy jako skromne uhonorowanie 15 lat istnienia naszego pisma ukazującego się od 1999 roku**.

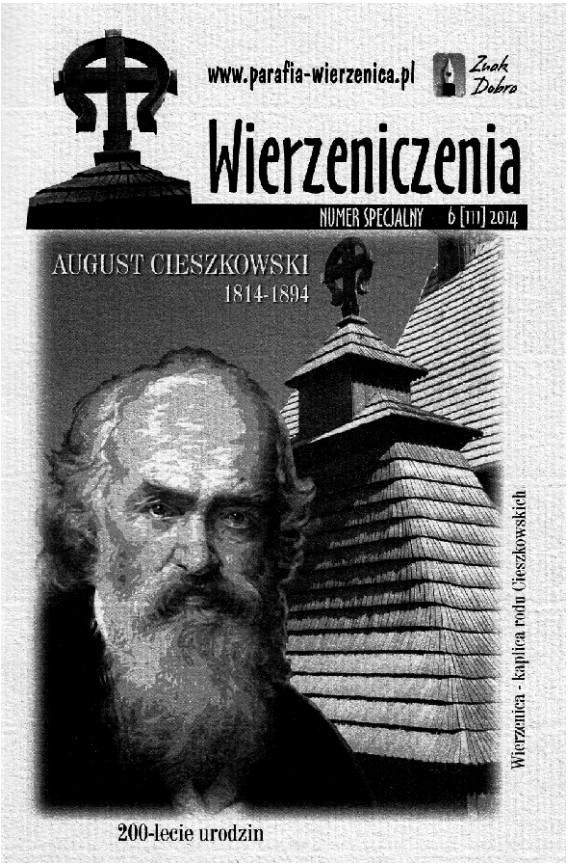

W dniu 3 maja, zgodnie w wcześniejszą zapowiedzią, przy kościele w Wierzenicy, została otwarta oficjalnie wiata dla turystów, pielgrzymów i wszystkich innych przybywających gości. Prace przy niej zakończyły się na początku tego roku. W okresie ciepłego przedwiośnia, przed kościołem zostały ułożone nowe schody. W bliskości wiaty postawiliśmy także kilka urządzeń, które mogą służyć dzieciom. Parafia wreszcie dorobiła się własnego napowietrznego nagłośnienia. Nabyliśmy je z myślą nie tylko o otwartych dużych spotkaniach pod wiatą ale także o cmentarzu. Ze zmian w kościele warto odnotować zamontowanie urządzenia multimedialnego. Dzięki temu możemy zobaczyć szereg ciekawych obrazów, ważnych dla życia duchowego człowieka. Nie ma za wiele okazji by zwykły odbiorca takie obrazy mógł zobaczyć gdzie indziej.

W kaplicy filialnej w Karłowicach nastąpiła całkowita zmiana wystroju prezbiterium. Dotychczasowy ołtarz wykonany ze zwykłej płyty został zastąpiony nowym, zrobionym z drzewa modrzewiowego z kamienną

płytą na wierzchu. Do tego zharmonizowany został wystrój pozostałych elementów, nowa ambona do czytania Słowa, pulpit przewodniczącego liturgii, krzyż, ławki dla asysty, stolik. Chcieliśmy uczynić godnym miejsce chwały Jezusa Dobrego Nauczyciela.

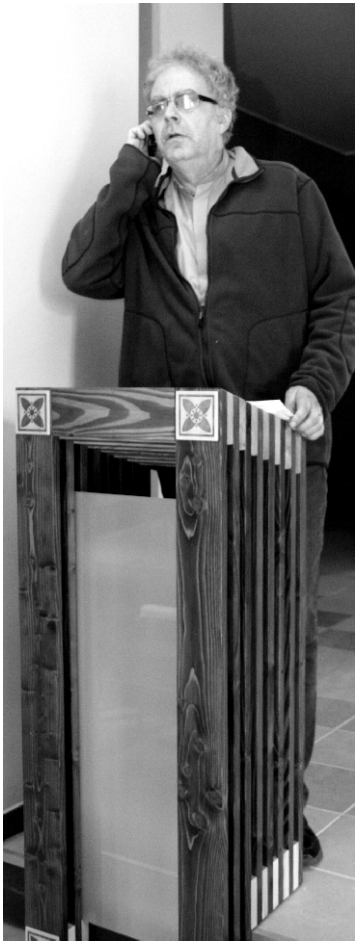

Każde listopadowe wydanie naszego pisma poświęcamy pamięci osób zmarłych związanych z Wierzenicką Ziemią. Ten numer powstaje zawsze nie tylko dzięki zaangażowaniu redakcji ale także dzięki temu, że wiele osób chce z nami się podzielić wspomnieniami o znanych sobie osobach. Wszystkim im dziękujemy. Każdego zawsze zapraszamy do współpracy. Dzięki temu w minionych latach udało nam się odtworzyć rys życia niejednego pięknego człowieka.

W piątek 31 października, w sobotę 1 oraz w niedzielę 2 listopada na cmentarzu ustawiona będzie skarbona, do której można wrzucać ofiary na wywóz śmieci z cmentarza. Także na ten cel będzie przeznaczona taca zebrana na cmentarzu w czasie Mszy św.
Całoroczne koszta wywozu śmieci stają się coraz większym problemem. Wszystkim dziękuję za pomoc. W minionym roku został rozebrany stary śmietnik i ustawiony kontener. Dokonaliśmy także przycinki niektórych gałęzi. Wreszcie najważniejsze: parafia podjęła kroki prawne w kierunku poszerzenia w najbliższej przyszłości cmentarza. Mam nadzieję, że zakończą się one powodzeniem.

x Przemysław Kompf

Pod wpływem jego namowy moja mama trafiła do Wierzenicy

Józef Kaczmarek (1912 - 1984)

Józef Kaczmarek był mieszkańcem Wierzenicy. Jego mieszkanie jest dzisiaj częścią mieszkania rodziny Bożeny Czerwińskiej. Mieszkał tam z matką. Nie miał swojej rodziny, był kawalerem. Pracując w PGR zajmował ważne stanowisko brygadzisty. Do niego należała organizacja pracy. Zapamiętałam jak bardzo wcześnie rano obchodził wieś krzycząc pod oknem co ma kto zabrać ze sobą dziś do pracy (widły,widełki, grymasy itd.). Znałam go po sąsiedzku jako dobrego kolegę mojego ojca. Razem czasami chodzili na piwo do Kobylnicy do baru. Mówiło się wtedy popularnie, że idą do „byka". Niejedną wódeczkę też razem wypili ale nigdy z tym nie przesadzał. W pracy był stanowczy, wymagający, obowiązkowy i sumienny. Także opiekuńczy. Umiał pomóc, jak widział, że dla kogoś, szczególnie dla jakiejś kobiety, praca była za ciężka. Potrafił ochrzanić kiedy ktoś na to zasłużył. Nie przenosił tego jednak na życie towarzyskie, które toczyło się po pracy. Lubił uczestniczyć w zabawach odbywających się na terenie Wierzenicy.

pierwszy z lewej Józef Kaczmarek, obok drugi samotny kawaler Władysław Słabuszewski, mój ojciec Zygmunt Strojny odwrócony tyłem z papierosem w ręku.

Chodził do kościoła i na pewno był znany jako osoba wierząca. Przeżył lat 72. Całe życie związany był z Wierzenicą. Tu się urodził i tutaj zmarł, tu też został pochowany. Umarł na zawał serca w maju 1984 roku. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzał go ks. Marian Dominiczak Zmarł 10 lat po śmierci swojej mamy, którą się troskliwie opiekował. Kilka ostatnich lat przeżył będąc na emeryturze.
Chciałam go wspomnieć dlatego bo podobnie jak ja był osobą samotną. Nie miał własnych dzieci, które o nim by mogły wspomnieć. Natomiast zapamiętałam go jako niezwykle wartościowego człowieka, o którym dobrze byłoby pamiętać tu w Wierzenicy. Jest jeszcze jedno. Józef Kaczmarek w trakcie swojej pracy jeździł sporo po okolicy szukając do pracy robotników sezonowych, bo ciągle brakowało rąk do pracy. Pod wpływem jego namowy moja mama, wówczas jeszcze niezamężna młoda kobieta, trafiła do Wierzenicy i tu potem zapoznała mieszkającego na stałe we wsi Zygmunta Strojnego, za którego wyszła za mąż.

Barbara Strojna

Przez 13 lat odwiedzałem w każdy I piątek miesiąca Marianna Kosmala (1928 - 2012)

W czwartkowe przedpołudnie 23 października jadę do Dębogóry. Chcę napisać wspomnienie o śp. Mariannie Kosmali. Jej zgon nastąpił w listopadzie 2012 roku. Miała wówczas 84 lata. Jak sięgam pamięcią od początku mojego pobytu w Wierzenicy odwiedzałem ją w domu przez 13 lat co miesiąc z Komunią św. w pierwszy piątek miesiąca. Początkowo przyjmowała ją sama. Trochę później Komunię św. w domu zaczął przyjmować także jej małżonek i trwa to do dzisiaj. W jednym z pokoi na piętrze domu był zawsze nakryty stół i małżonkowie oboje na moment przyjścia księdza wchodzili po schodach na górę. Czasami trzeba było na nich troszkę poczekać. Marianna, chociaż poruszała się z dużym trudem, za każdym razem była pierwsza. W ostatnich miesiącach

nastąpiła zmiana. Wejścia na górę stały się już niemożliwe i wszystko przygotowywane było w pokoju na parterze. W moim osobistym wspomnieniu zapamiętałem śp. Mariannę jako osobą niezwykle pobożną, ciepłą i kochaną, szczerze oddaną swym najbliższym. Całe jej życie upłynęło w pracy na roli. W jesieni życia widać było mocno wcześniejsze spracowanie. Żyła tak jak i cała rodzina skromnie. Cudów żadnych się nie dorobiła. Dobrze, że mogła się cieszyć miłością i szacunkiem ze strony najbliższych.

Chciałem poprosić córkę Jolantę Sprada by trochę opowiedziała nam o swojej kochanej mamie. Odpowiedź była dla mnie miłym zaskoczeniem: moja siostra Wanda już napisała o naszej mamie. Później ten tekst otrzymałem. Czytając go bardzo się wzruszyłem. Czuje się, że jest to słowo od tych, którzy ciągle kochają.

xPK

Pożegnaliśmy na cmentarzu ale nigdy w sercu Wspomnienie o naszej Mamie Mariannie Kosmali.

Mijają dwa lata jak odeszła, a pełno nas, a jakoby nikogo nie było... Wchodzimy do jej pokoju, wydaje się nam (właściwie czekamy na to), że nasza Kochana mama siedzi na fotelu i się uśmiecha, a zaraz potem bierze kule i idzie z nami do kuchni, gdzie toczy się całodzienne życie. Wszystkiego musi dopilnować, sprawdzić. Mama nasza urodziła się i

mieszkała w leśniczówce. Jej ojciec był leśniczym i to miało bardzo duży wpływ na szacunek i miłość do przyrody. Była najstarszą z czwórki rodzeństwa, którym opiekowała się odpowiedzialnie. Jej dzieciństwo przypadło na lata wojny i dlatego razem z siostrą jako 14 – letnie dziewczynki musiały ciężko pracować w lesie. Rodzice jej byli bardzo religijni i przywiązywali wielką wagę do tradycji i przeszłości. Na pierwszym miejscu zawsze był Bóg, Honor i Ojczyzna. Dwoje rodzeństwa naszej Mamy odeszło niemal równocześnie w bardzo młodym wieku, co było wielką tragedią dla Niej i rodziców.

Swojego męża, a naszego Tatę poznała na dożynkach. Zanim stanęli na ślubnym kobiercu „chodzili" ze sobą aż pięć lat. Ślub brali w Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Dąbrówce Kościelnej (dokąd corocznie i w Wierzenicy udaje się pielgrzymka na odpust wrześniowy). Przeżyli ze sobą razem 55 lat w wzlotach i upadkach jak to w życiu bywa. Ale darzyli się wzajemnie szacunkiem i tego też nauczyli swoje dzieci. Ich małżeństwo było przykładem dla nas i mamy nadzieję, dla naszych wnuków. Mama żyła życiem całej rodziny: córek, zięciów, wnuków no i prawnuków. Bardzo ważna była dla Niej nauka wnuków. Sama miała niespełnione marzenie żeby zostać przedszkolanką (wnuczka Martyna to spełni) ale wiadomo jakie to były czasy. Dużo czytała książek wypożyczonych z biblioteki Raczyńskich, codziennych

gazet, oglądała też programy informacyjne w telewizji. Interesowała się praktycznie całym światem. Dyskutowała na każdy temat. Była kopalnią wiedzy z historii ogólnej ale i też tej tyczącej najbliższej rodziny. Swoim małym i potem już dorosłym wnukom ciekawie ją opowiadała, nie szczędząc przy tym wspaniałych anegdot. O sobie nigdy nie myślała. Zawsze ważny był dla Niej ktoś, nawet „obcy". Całe życie naszej Kochanej Mamy to jedna ciężka praca na gospodarstwie bez chwili odpoczynku ale nigdy nie narzekała. Uważała, że tak musi być. Modlitwa była dla Niej wytchnieniem i zawsze ufała w Miłosierdzie Boże. Pożegnaliśmy Cię Kochana Mamo na cmentarzu ale nigdy w sercu córek, zięciów, wnucząt i prawnuków.

Córki Jola i Wanda

Nieprawdopodobne tłumy Jan Ożarowski (1949 - 2013)

Jego pogrzeb musiał się zapisać w pamięci wielu osób. Wokół kościoła w Wierzenicy zgromadziły się nadzwyczajne tłumy ludzi. Msza św. pogrzebowa odprawiona była w świątyni parafialnej, a złożenie ciała do grobu miało miejsce na cmentarzu w Kicinie. Kondukt, który się ukształtował w drodze z Wierzenicy do Kicina zatarasował na dobrą godzinę drogę od Wierzonki w stronę Koziegłów. Sznur pojazdów: samochody i motocykliści. Także polna droga traktem z Wierzenicy do Kicina była zapełniona. Zanim wszyscy dojechali na cmentarz i go szczelnie wypełnili upłynęło mnóstwo czasu. Tyle osób chciało odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku śp. Jana Ożarowskiego. Jako proboszcz miejsca poznałem go jak tylko przyszedłem do parafii. Nie raz korzystałem z życzliwej gościny jego domu. Nie tylko w czasie kolędy. Kiedy małżonka udawała się do kuchni coś przygotować do jedzenia, Jan zawsze pełnił rolę gospodarza przy stole. Potrafił opowiadać ciekawe historie. Widać było, że umie być duszą towarzystwa. Czuło się jak kocha swoją rodzinę i swój dom. Wiedział,ze mam pod opieką kilku młodych ludzi dlatego też od czasu do czasu, jednak dość regularnie, podrzucał mi na probostwo mrożone kurczaki. Dzięki temu nauczyłem się jeść i na różne sposoby przygotowywać

drób. O tym jakim człowiekiem był śp. Jan Ożarowski rozmawiałem na probostwie z jego żoną Elżbietą w czwartek 23 października po zakończeniu Mszy św. w kościele.

Najpierw o tym, jak długo byliśmy małżeństwem. Małżeństwem byliśmy ponad 40 lat. W naszym kościele w roku poprzedzającym zgon Janka świętowaliśmy tą rocznicę. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego,ze to jest nasza ostatnia wspólna rocznica. Janek chorował ale nie wydawało się, że to może być takie groźne. Nie wiem, czy czegoś nie ukrywał przed nami.

Jak żeśmy się poznali i coś o ślubie. Poznaliśmy się przez Janka koleżankę, z którą chodził do szkoły wieczorowej w Poznaniu. Ja tą dziewczynę znałam po sąsiedzku. Pierwszy raz spotkaliśmy się w kawiarni. Potem Janek odprowadzał tą koleżankę i przy okazji chciał się ze mną spotkać. Ona wyciągała mnie z domu. Ja osobiście byłam nieśmiała i nie udzielałam się towarzysko. Janek od czasu gdy mnie zapoznał, nie chciał się już odczepić. Jednak wiele upłynęło miesięcy zanim zaczęliśmy spotykać się razem bez towarzystwa tej koleżanki. Ślub odbył się w katedrze poznańskiej w październiku 1972 roku. On miał wtedy 23 lata, ja 21. Po ślubie zamieszkaliśmy w Czerwonaku razem z jego rodzicami. Mieliśmy jednak swoją osobną część mieszkania.

O domu rodzinnym Janka, o dzieciństwie i młodości. Janek urodził się w Tomaszowie Lubelskim w 1949 roku. Rodzice jego mieszkali w miejscowości Podhorce. Sprzedawszy swój dobytek, z tego miejsca przeprowadzili się do Puszczykowa, a później do Czerwonaka. Janek miał trzy siostry. Do szkoły podstawowej chodził w Czerwonaku. Potem do szkoły zawodowej. Następnie do liceum wieczorowego.

Co zadecydowało, że osiedliśmy w Mielnie i zajęliśmy się hodowlą kurczaków. Janka ojciec był człowiekiem niezwykle zaradnym. Chcąc zabezpieczyć byt rodzinie, podejmował się realizacji różnych przedsięwzięć. Jednym z jego pomysłów było wybudowanie kurnika. Janek wdrożył się do pracy przy nim. W Czerwonaku jednak nie było możliwości dalszego rozwoju i dlatego zaczęliśmy szukać dla siebie miejsca gdzie indziej. W ten sposób trafiliśmy około 1979 roku do Mielna.

Skąd na pogrzebie Janka wzięła się ta wielka rzesza ludzi? Przez całe życie Janek był niezwykle otwarty towarzysko. Pierwszy raz zobaczyłam to w dniu naszego ślubu, kiedy w kościele zjawiło się mnóstwo jego kolegów i koleżanek. Nikogo z tych ludzi wcześniej nie znałam. Łatwo nawiązywał kontakty i lubił się angażować. Pasją jego było myślistwo i łowiectwo, także rybactwo. Wszędzie było więc jakieś towarzystwo. W zimie lubił jazdę na nartach. Wszystkich nas tego nauczył. (Moja pierwsza nauka polegała na tym, że kazał mi zjeżdżać ze wzniesienia, które nie było małe. Powiedział co mam robić ale oczywiście tego w emocjach nie zapamiętałam. Zjechałam na tzw. krechę, porządnie po drodze się poobijałam i tego

roku więcej lekcji już nie było.) Latem Janek lubił pływanie i jazdę motorówką. Kochał także motory. Z tym związane były liczne wyjazdy i kolejne znajomości. W wielu spotkaniach jemu towarzyszyłam, chociaż jazdy na motorze zawsze trochę się bałam. Z pięknych imprez które przy tej okazji przeżyliśmy to zloty doroczne motocyklistów na Jasnej Górze, rajd szlakiem Stefana Czarneckiego i wiele innych. Dzięki tak wielkiej aktywności Janek wszędzie miał znajomych i to jak już wspomniałam, od młodości. Był powszechnie lubiany. Chętnie też pomagał innym. Wiadomość o jego chorobie poruszyła wielu. Wszyscy byli zaskoczeni. Od wielu znajomych doświadczyłam słów wsparcia i życzliwości. W dniu pogrzebu chyba stawili się wszyscy by towarzyszyć mu na ostatniej drodze.

Jako mąż i ojciec. O zaangażowaniu w prace domowe, w wychowanie dzieci, charakter Janka. Jako mąż i ojciec był bardzo troskliwy. Zabiegał o zabezpieczenie bytu materialnego rodziny. W prace domowe nie angażował się wcale. W tym nie mogłam liczyć na jego pomoc. Nie umiał sobie zrobić nawet śniadania. Lubił być obsługiwany. Mówił: lepiej mi smakuję jak ty mi zrobisz. Dziećmi się interesował. Tu mogłam liczyć na jego zaangażowanie. Nie tylko wtedy gdy były małe ale i później. Starał się je zachęcać do nauki, włączał w różne prace i zaszczepiał umiejętności sportowe. Wszystkich nauczył pływania. Był też bardzo uczuciowy. Mocno przeżywał w ostatnich latach chorobę naszej wnuczki. Janek nie był zbyt ustępliwy. Lubił zarządzać, mówić co kto ma zrobić. Jednak nie przebierał miary w tym wszystkim. Rzadko żeśmy się kłócili. Kiedy na czymś mi zależało, umiałam go odpowiednio podejść.

Janek umarł mając 63 lata. Zawinął się w ciągu zaledwie 6 tygodni. Nikt z nas nie spodziewał się takiego ataku choroby. Oczywiście, że bardzo mi go brakuje. Dobrze, że mam oparcie w naszych dzieciach.

opr. x PK

Wspomnienie o Basi Hetmańskiej

ur. 17 czerwca 2014, zm. 18 czerwca 2014

„17 czerwca o 2:46 w nocy przyszła drogami natury na świat Barbara Hetmańska. Ważyła w momencie urodzenia 3380 g. Zdobyła 10 punktów w skali Apgar. Mama i córka czują się dobrze, odpoczywają bezpieczne i pod dobrą opieką na oddziale szpitala ginekologiczno-położniczego w Poznaniu przy ulicy Polnej.” Takie sms-y i e-maile rozsyłał szczęśliwy Tata, Bartosz Hetmański, wywołując powszechny entuzjazm. Tego dnia, Rodzina odwiedzająca Matkę i Córkę w szpitalu, podziwiała cud macierzyństwa. Na szpitalnym łóżku leżało obok zmęczonej, ale bardzo szczęśliwej, Mamy śliczne, subtelne maleństwo, w którym można było dopatrzyć się podobieństwa do Rodziców, a nawet do Dziadków. Młoda Mama promieniała radością, a jej Córeczka, mała Basia, cieszyła i zadziwiała obecnych swoim zachowaniem. Przede wszystkim spała, jak to przystoi noworodkom, ale też trochę czuwała. Otwierała niebieskie oczy. Ruszała rączkami, a nawet zsunęła rączką czapeczkę z główki. Obejmowała paluszkami palec Matki i chwytała frędzle jej koszuli, które przykładała do ust.

Bezgraniczna radość Rodziny nie trwała jednak długo. W środę 18 czerwca, w niecałą dobę po przyjściu na świat, Basia odeszła bezgłośnie w szpitalnym łóżeczku. Jej Mama, leżąca na łóżku obok, wycieńczona trudnym porodem, nic nie słyszała. Kiedy przyszła pielęgniarka i rozpoczęto reanimację dziecka, już nic się nie dało zrobić.

Bezlitosny los zadrwił z naszej Rodziny. We wtorek, 17 czerwca, sięgnęliśmy nieba urodziła się Basia, ale w środę, 18 czerwca, pochłonęło nas piekło Basia umarła. Dostaliśmy Basieńkę z niebieskiej wypożyczalni tylko na bardzo krótki czas - na jeden, jedyny dzień, który jednak wystarczył do tego, by Rodzina szczerze pokochała to

Dzieciątko.
Co można napisać o dziewczynce, która żyła tak krótko? Można jedynie snuć przypuszczenia o jej dalszym życiu. O tym, że pewnie byłaby dobrym człowiekiem, tak jak jej Rodzice. Że znalazłaby harmonię wewnętrzną z samą sobą, a także z innymi ludźmi i z otoczeniem. Niestety, już się tego nie dowiemy.
Tylko wspomnienie jedynego cudownego dnia, kiedy mieliśmy żywą Basię, dawało moim bliskim, którzy mocno trzymali się razem, siłę w żałobie. Nawet rozpaczająca Córka, kiedy mówiła o tym pięknym dniu, pogodniała, a przez moment na jej strapioną twarz powracał delikatny uśmiech.
Wszyscy mieliśmy nadzieję, że za sprawą Basieńki powrócimy w jakimś sensie do dawnych, dziecinnych lat. Jednak plany i oczekiwania związane z Maleństwem bardzo szybko legły w gruzach. To nie tak miało być. Stało się zupełnie inaczej niż mieliśmy prawo oczekiwać. Pokoik Basi pozostanie pusty. Jak napisał przed prawie 230 laty szkocki poeta, Robert Burns nawet najlepiej ułożone plany czasem w gruzy się walą:

Misterne plany i myszy, i ludzi
Często idą źle,
I nie zostaje nam nic, prócz żalu i cierpienia,
Zamiast oczekiwanej radości.

Zbigniew W. Kundzewicz, jednodniowy dziadek

Marek Giec - dwa obrazki

Mój dobry sąsiad

Zmarły w ubiegłym roku śp. Marek Giec pozostał w mojej pamięci dobrym sąsiadem. Zawsze mogłam zasięgnąć dobrej dobrej rady dotyczącej zwłaszcza spraw związanych z wyposażeniem domu. Pomógł mi zainstalować pralkę automatyczną, czy też naprawić 50-letnią „Franię" (pralka wirnikowa). Razem w sklepie zakupiliśmy armaturę sanitarną do łazienki, którą naturalnie zamontował. Jednym słowem „złota rączka". Był człowiekiem pogodnym i uczynnym. Jedną z jego pasji było hodowanie przydomowego drobiu jak: kurki „zwerkusie", kaczki francuskie a także gęsi.
Miał dobre kontakty z sąsiadami, z którymi prowadził rozmowy na różne tematy. Dbał o dom, robił zakupy, wychowywał wnuki. Pozostał w pamięci jako dobry człowiek.

Wdzięczna Iwona Walent

Marka spotykałem codziennie rano. Wpierw gdy odprowadzał wnuczka do przedszkola /ja odwoziłem syna w drugim kierunku/, potem w sklepie gdy robił zakupy dla domu i wreszcie gdy sam spieszyłem się na autobus do pracy on już dyżurował przy magazynie Caritasu. Był takim stałym punktem w krajobrazie Wierzenicy. Zawsze obecny, zawsze serdeczny, zawsze pomocny. To on mnie namówił, żebym objął sołectwo. Potem został członkiem rady sołeckiej i zawsze mogłem na niego liczyć. Numer Jego telefonu był bardzo często przez mnie wybierany. Melodyjka „koko koko euro spoko" która się odzywała po wybraniu numeru zawsze wprawiała mnie w dobry nastrój, a Marek tubalnym głosem zawsze zapewniał, że „nie ma sprawy". To Jego miłość do kwiatów była zaczynem pomysłu drewnianych kwietników wzdłuż głównej drogi. Swoim wózkiem widłowym pomagał w ich ustawianiu i chowaniu na zimę. Był dobrym duchem Wierzenicy. W rozmowach często wiele osób mówi, że bez niego jest bardzo pusto. Dodam – bardzo pusto.

Maciej Dominikowski

Halina Cywińska (1908 – 1997) od przed wojny na Wierzenickiej Ziemi

W piątkowe przedpołudnie 24 października odwiedziłem mieszkanie Bogdany Cywińskiej. Od kilku osób już wcześniej słyszałem, że jej mama była osobą niezwykle urokliwą. Poprosiłem więc by mi coś o niej opowiedziała.

Właśnie wczoraj myślałam dużo o moich rodzicach – zaczęła swoją opowieść Bogdana Cywińska – oboje są pochowani w różnych miejscach. Muszę pomyśleć o ekshumacji aby nareszcie spoczęli razem. Moja mama na imię miała Halina i nazywała się z domu Balcer. Urodziła się w 1909 roku w Tucholi. Jej ojciec miał na imię Józef i był właścicielem gorzelni. Mama jej, a więc moja babcia, miała na imię Jadwiga, z domu była Prądzyńska. Mama miała kilkoro rodzeństwa. Po szkole powszechnej pobierała naukę w Seminarium Nauczycielskim w

Bydgoszczy, ale chyba go nie skończyła. Dodatkowo pobierała lekcje języka francuskiego i muzyki. Chodziła także na kursy prowadzenia domu. Swojego męża Józefa Cywińskiego, rok starszego od siebie, poznała właśnie podczas nauki we wspomnianym Seminarium. On także tam uczęszczał. Pobrali się w 1936 roku najprawdopodobniej w Strzelewie, gdzie dziadkowie zamieszkiwali. W dniu ślubu, mama zawsze o tym wspominała, moja babcia, a jej mama, dostała udaru i wkrótce potem zmarła.

Młodzi małżonkowie zamieszkali najpierw w Strzelewie. Potem przenieśli się do Łukowa i krótko potem, jeszcze przed wojną, do Wierzenicy. Mama moja nigdy nie pracowała zawodowo. Zawsze zajmowała się domem. Ojciec mój, chociaż miał wykształcenie nauczycielskie, nigdy nie pracował w swoim zawodzie. Teść wciągnął go do pracy w gorzelni. Wszędzie gdzie był pracował na stanowisku kierownika gorzelni. Przed wojną urodził się mój brat ale niestety szybko umarł. Było to jeszcze przed przyjazdem do Wierzenicy. Mama bardzo mocno to przeżyła. Wojna zastała ich w Wierzenicy. Ojciec mój został zmobilizowany do wojska i brał udział w kampanii wrześniowej. Potem krótko był w niewoli i wrócił do domu i dalej pracował na tym samym stanowisku w gorzelni. Nigdy nie chciał opowiadać o swoich przeżyciach wojennych. Ja przyszłam na świat w Wierzenicy w 1942 roku.

We wspomnieniach mojej mamy utkwił rok 1945 kiedy pojawili się Rosjanie. Gorzelnia, którą szybko wypatrzyli stała się obiektem ich częstych odwiedzin. Obok nas zamieszkał oficer rosyjski z jakąś kobietą. Zachowywał się grzecznie. Podobno bardzo mnie lubili i często brali na ręce. Pojawiało się wielu innych żołnierzy, którzy już od progu krzyczeli do ojca: „Dawaj spirit". Potem pili u nas w mieszkaniu. Niekiedy przychodzili ze swoją zakąską ale czasami mama musiała specjalnie przygotowywać dla nich jedzenie. Któregoś dnia, kiedy spirytus już się skończył, przyszedł Rosjanin i zachowywał się bardzo agresywnie. Mojemu ojcu przystawił pistolet do głowy i krzyczał: „dawaj spirit" Mama moja leżała akurat chora w łóżku. Przerażona wyciągając rękę zawołała: „Matko Boska, ratuj!".Rosjanin opuścił rękę i strzelił w podłogę. Dziura w podłodze pozostała jako pamiątka po tym zdarzeniu.

Po wojnie rodzice dalej mieszkali w Wierzenicy. Kiedy w 1949 roku zamknięto gorzelnię w Wierzenicy, ojciec przeniósł się do pracy we Wierzonce. Po 3 – 4 latach wszyscy jako rodzina przenieśliśmy się do Wierzonki i zamieszkaliśmy obok gorzelni. Mama przy domu trzymała kury, kaczki. Chyba także i świnię. Ojciec często do domu kogoś przyprowadzał i trzeba było częstować obiadem gości. Mama była bardzo delikatna, lubiła czytać. Mnie także nauczyła czytania. Przy każdej okazji dostawałam od niej książki. Mój ojciec był bardziej surowy, dosyć szorstki w obejściu. Potrafił nie raz swoim zachowaniem mamie sprawić przykrość. Nie miał w sobie naturalnego ciepła, ja też trochę się go zawsze bałam. To kontrastowało z jego zachowaniem na

zewnątrz, gdzie był towarzyski. Mama niewiele miała znajomych. W Wierzenicy przyjaźniła się z Wiktorią Kukułową, która w swoim czasie była pomocą domową w dworku Cieszkowskich. Także z młynarzami z Wierzenicy i z rodziną Mikołajewskich z Dębogóry. Nie wiem skąd miała koleżanki z Kobylnicy, z którymi się wzajemnie odwiedzały.

Teraz wspomnę o epizodzie z pamiętnego czerwca 1956 roku. 28 czerwca akurat było ogłoszenie listy przyjętych uczniów do liceum. Kilka dni wcześniej zdawałam stosowne egzaminy. Niczego nie świadome wybrałyśmy się z mamą do Poznania i przez przypadek stanęliśmy w samym centrum zdarzeń. Mama chciała dostać się do pracy do swojej siostry aby od niej coś dowiedzieć się na temat tego co się stało. Nie mając orientacji gdzie toczą się wypadki szłyśmy w stronę Rynku Jeżyckiego, a więc w rejon najpoważniejszych zajść. Potem wycofywałyśmy się w stronę Garbar. Tam znowu niesione przez tłum byłyśmy świadkami szturmu na więzienie przy Młyńskiej. Strach był olbrzymi. Widok pojazdów wojskowych i czołgów sprawił, że mamie od razu wróciły na pamięć wspomnienia z wojny. Ktoś z rodziny odwiózł nas potem motorem z przyczepką do Wierzonki.

Mężatką moja mama była 49 last. Józef Cywiński zmarł w 1985 roku i został pochowany na cmentarzu na Miłostowie w Poznaniu. Przed śmiercią dość ciężko chorował na nowotwór. Miał wtedy77 lat.

Oczywiście z mamą żeśmy się nim opiekowały. Kiedy już był kiepski miałam dylemat. Podobnie i moja mama. Chciałyśmy sprowadzić do niego księdza ale on od pewnego dłuższego czasu nie chciał chodzić do kościoła i unikał spowiedzi. Z mamą wiedziałyśmy dlaczego tak się działo. Bałyśmy się jego reakcji. Akurat w naszej parafii nie było proboszcza ks. Pieczonki. Był natomiast ksiądz na zastępstwie. Poprosiłam tego księdza by przyszedł do nas do domu (w księdze zmarłych wpisany jest ks. Jan Chmiel – dop. xPK). Kiedy ojciec go zobaczył, wyciągnął rękę w stronę krzyża i się przeżegnał. Potem zostawiłyśmy ich samych w pokoju. Przez szereg dni przed przyjściem księdza ojciec był niespokojny. Po jego wyjściu całkowicie się wyciszył. Mama moja zmarła 12 lat później. Też bardzo poważnie chorowała i wymagała stałej opieki. Dożyła

przeszło 88 lat. Pochowana została w Wierzenicy. Przez całe swe życie była bardzo religijna. Przed wojną należała do Sodalicji Mariańskiej. Razem z mamą oprócz Wierzenicy, często chodziłyśmy na Mszę św. do kaplicy do Kobylnicy. W domu gościem rodziców był ks. Spachacz z Kicina. Nie wiem skąd była ta znajomość, bowiem my do kościoła do Kicina nie jeździliśmy.
To że moi rodzice nie są razem pochowani wynikało z tego, że kiedyś miałam plan by przenieść się do Poznania. Potem od tego odstąpiłam i tak doszło do ich rozdzielenia po śmierci. Lata upłynęły, a ja nie umiałam się zabrać za przeprowadzenie ekshumacji.

opr. XPK

Stworzyli nam prawdziwie rodzinny szczęśliwy dom
Barbara i Zygmunt Wolniewińscy

Małżeństwem byli 54 lata. Pobrali się we wrześniu 1957 roku w Graboszewie k. Wrześni. Mama miała wtedy 25 lat, tata 28. Do kościoła udali się pieszo nie korzystając w przeciwieństwie do innych z żadnej

powózki. Mama pochodziła właśnie z tej miejscowości. Tato mieszkał w sąsiedniej wiosce Paruszewo. Poznali się w czasie dożynek na zabawie wiejskiej. Przed ślubem sprzyjali ze sobą około 2 lat. Mama z zawodu była krawcową, tato palaczem w gorzelni w Paruszewie. Kiedy oboje mieli po kilka lat wybuchła wojna. To uniemożliwiło im chodzenie do szkoły. Mamę uczyli czytać i pisać w domu jej rodzice. Korzystali przy tym z pomocy książeczki do nabożeństwa. Bali się trzymać na wierzchu inne książki. Tato w wieku 13 lat musiał już pracować na roli tak samo jak dorośli. Szkołę podstawową kończyli po wojnie uzupełniając wykształcenie o dodatkowe kursy. Z czasów panieńskich mama lubiła wspominać jak śpiewała w parafialnym chórze kościelnym. Z tego okresu zachowała liczne znajomości, które przetrwały do śmierci.

Po ślubie zamieszkali u mamy rodziców w Graboszewie. Tam przyszły na świat wszystkie ich dzieci. W sumie było ich czworo: dwie córki i dwóch synów. Chociaż mama poza domem nie pracowała, posyłani byliśmy wszyscy do przedszkola abyśmy dobrze się przygotowali do nauki szkolnej. Tą dbałość warto podkreślić bo nie było wiele wiejskich dzieci korzystających z takiej formy nauki. Z dzieciństwa pamiętamy wspólne z rodzicami letnie spacery do lasu i do parku. Zimą z tatą chodziliśmy na sanki.

Po 8 latach rodzice przenieśli się do Paruszewa na swoje mieszkanie. Tam mieszkali 12 lat. W 1977 roku przenieśli się do Wierzonki. Powodem przeprowadzki było pragnienie polepszenia sobie warunków życia. Był to czas kiedy my jako ich dzieci uczyliśmy się w szkole. Rodzice dbali o naszą naukę i stale nas do niej zachęcali. Mama regularnie chodziła na wszystkie wywiadówki. Daniel chodził do szkoły zawodowej samochodowej, do której uczęszczali sami chłopcy. W klasie było sporo wagarów i dlatego zebrania odbywały się co miesiąc. Mama zawsze była obecna. Rodzice pilnowali nas byśmy chodzili na

lekcje religii. Co tydzień regularnie uczęszczaliśmy wszyscy do kościoła na Mszę św. Także na dodatkowe nabożeństwa. Mama pilnowała byśmy modlili się w domu. Mówiła byśmy modlili się własnymi słowami, a nie tylko powtarzali wyuczone modlitwy. Mama poszyła mi i mojej siostrze białe sukienki, które zakładałyśmy do sypania kwiatków.

Rodzice dbali byśmy wyjeżdżali jako dzieciaki na kolonie organizowane przez zakład pracy. Sami zaczęli wyjeżdżać jak tato przeszedł na emeryturę. Wtedy mieli więcej czasu wolnego. My wtedy byliśmy już dorośli. Część rodzeństwa miała już swoje rodziny (doczekali się czworo wnuczek). Jeździli na wczasy i do sanatorium.

We Wierzonce rodzice najpierw dostali mieszkanie w podwórzu gospodarstwa. Mama zajmowała się domem. Bardzo dobrze gotowała, czasami piekła dla nas coś specjalnego jako niespodziankę. Nigdy nie było sytuacji żeby nie było obiadu. Nie zostawiała nas samych bez opieki. Dużo czasu poświęcała na szycie. Po kolei obszywała nas wszystkich, także ojca. Szyła pościele, haftowała igłą i szydełkiem serwety, na drutach robiła z tego samego koloru wełny czapki, rękawiczki i szale, także skarpety. Do dzisiaj w domu mamy serwety, które robiła jeszcze w czasach panieńskich. Wiele osób ze wsi i z okolic korzystało z jej usług. Potrafiła uszyć wszystko przy jednej przymiarce. Szyła także komże do kościoła, a nawet sutannę dla ks. Pieczonki. Tato pracował do emerytury we Wierzonce w gorzelni. W 1989 roku przeprowadziliśmy się do bloku. W tym roku tato nasz poszedł na emeryturę.

Przez wszystkie lata rodzice nasi żyli zgodnie. Stworzyli nam prawdziwie szczęśliwy rodzinny dom. Nie słyszeliśmy żeby w sposób gwałtowny się kłócili, czy sobie ubliżali. Dla taty ważne było zdanie mamy. Ona kierowała domem, jego wydatkami Decyzje o ważnych zakupach podejmowali wspólnie. Uczyła nas oszczędności byśmy kupowali tylko to co potrzebne. Mama zawsze pilnowała by mieszkanie było bardzo czyste. Tego nas nauczyła. Myśmy z siostrą miały na przemian dyżury w kuchni. Chłopcy mieli obowiązek pomocy na działce. W sobotę były robione gruntowne porządki.

Rodzice przez długie lata cieszyli się dobrym zdrowiem. Nie chorowali. Taty choroba zaczęła się po przekroczeniu 70 roku życia i trwała około 10 lat. Stopniowo tracił sprawność ruchową i w mowie. W tym czasie rodzice przeżywali swój złoty jubileusz małżeński. Obchodzili go dokładnie w tym samym dniu co pięćdziesiąt lat wcześniej 15 września. Była tak sama słoneczna pogoda. Mieli uroczystość w kościele potem w lokalu było spotkanie rodzinne. Bardzo to wszyscy radośnie przeżyliśmy Do końca życia tato starał się być samodzielny. Nie leżał w łóżku. Zmarł w wieku 82 lat w lutym 2011 roku. Mama chorowała około 15 lat..Miała tętniaka na aorcie. Do końca życia była sprawna i też nie leżała. Wiosną 2013 roku boleśnie przeżyła śmierć córki. która w szpitalu zmarła na chorobę nowotworową. Niewątpliwie wpłynęło na pogorszenie się stanu jej zdrowia. Zmarła w listopadzie 2013 roku. Doczekała 81 lat. Zgon poprzedził miesięczny pobyt w szpitalu. Zmarła w domu 2 godziny po powrocie ze szpitala.

O swoich rodzicach opowiadali
Iwona, Wojtek i Daniel

Rodzeństwo odwiedziło mnie na probostwie w niedzielę wieczorem 26 października. Z dużym wzruszeniem słuchałem ich wspomnień o swoich kochanych rodzicach. Przez lata odwiedzałem obojga małżonków w pierwszy piątek miesiąca przychodząc z Komunią św. Pamiętam ich złoty jubileusz. Z tej okazji p. Barbara ofiarowała dla parafii bursę, z którą ksiądz chodzi i odwiedza chorych. Używam jej do dnia dzisiejszego. Moją zewnętrzną obserwacją mogę tylko potwierdzić co zostało powiedziane o śp. małżonkach. Kochani, dobrzy i pełni ciepła ludzie. Słuchając tej opowieści na pamięć przychodziło mi słowa Jezusa: tajemnice Królestwa zostały objawione ludziom prostym (por. Mt 11,25).

dop. XPK

Wierzeniczanin z wyboru

To piękny i pożyteczny zwyczaj polegający na umieszczaniu w listopadowym numerze „Wierzeniczeń" wspomnień o tych, którzy spoczywają na wierzenickim cmentarzu. Duże uznanie dla pomysłodawcy. Dzięki tym wspomnieniom groby nie są anonimowe, uświadamiają, ilu niezwykłych, mądrych i dobrych ludzi żyło na tej ziemi. Warto ocalić ich od zapomnienia.

Wśród mogił, pod wielkim rozłożystym dębem, znajduje się miejsce wiecznego spoczynku mojego Męża Mieczysława Sobieraja mieszkańca Poznania. Nie pochodził z tej ziemi, urodził się bowiem w 1933 roku we wsi Cudzynowice na ziemi kieleckiej. Po zdaniu w 1951 roku matury w Kazimierzy Wielkiej pracował jako nauczyciel w Męciszowie wiosce położonej w Puszczy Kozienickiej. Później odbył zasadniczą służbę wojskową w twierdzy Modlin, po czym studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Odbył też aplikację radcowską. Przez wiele lat pracował w Urzędzie Miasta w Poznaniu. Był troskliwym i wyrozumiałym mężem, ojcem dwóch synów, później dziadkiem dwóch wnuczek, które bardzo kochał, ponad wszystko.

W 1979 roku nabyliśmy działkę w pobliżu Gruszczyna, na niej wybudowaliśmy letni dom. Wtedy uprawa ziemi stała się pasją mojego Męża. Odbywając wycieczki po okolicy, „odkryliśmy" Wierzenicę i zauroczyliśmy się nią. Zachwycał nas drewniany kościół, który mężowi do złudzenia przypominał ten stojący w Jego wsi. Również krajobraz

kojarzył Mu się z rodzinnymi stronami. Poznawaliśmy historię Wierzenicy oraz dokonania Augusta Cieszkowskiego, ubolewaliśmy nad popadającym w ruinę dworem. Często wiosną i latem w niedzielę uczestniczyliśmy we mszy świętej w wierzenickim kościele.
Mój Mąż zmarł nagle na swojej ukochanej działce wiosną 1994 roku wśród kwitnących drzew. Zgodnie z Jego wolą pochowaliśmy Go na wierzenickim cmentarzu na ziemi, którą był zauroczony. Można więc stwierdzić, że stał się wierzeniczaninem z wyboru.
Wkrótce po śmierci Męża przyszli na świat trzej wymarzeni i upragnieni wnukowie. Oni również darzą Wierzenicę dużym sentymentem. Wnuczki postanowiły zawrzeć związek małżeński w wierzenickim kościele, blisko ukochanego Dziadka - jedna przed pięcioma laty, druga w przyszłym roku. Młodsza z wnuczek - Joanna - upamiętniła Dziadka w 1998 roku w jednym ze swoich wierszy:

Pamięci Dziadka

Tak niedawno czytał mi bajki,
tak niedawno kołysał w ramionach.
Tak niedawno...
Miło było patrzeć,
jak chodzi w okularach,
miło było słuchać,
jak mówi:
rodzinka-odjazd.
Wszystko zniknęło:
jego głos, rozmowy, zabawy ze mną.
Jedno zostało -
wspomnienie.

Dorota Sobieraj

Pamiętając o wiejskim rodowodzie Męża, sprawiłam, że na miejsce wiecznego spoczynku wiozły Go konie.

Miejsce pamięci o rowerzyście

Rower pamięci to zwyczaj rowerzystów upamiętniania swych tragicznie zmarłych przyjaciół. Przyszedł z USA stąd często spotykana angielska jego nazwa *ghost bike* oznaczająca instalację upamiętniająca rowerzystę zabitego w wyniku wypadku drogowego. Jest to zwykle rower w całości pomalowany na kolor biały, ustawiony w miejscu tragedii. Uhonorowanie pamięci zabitego w taki sposób jest jednocześnie przestrogą dla innych i cichym wsparciem prawa rowerzystów do bezpiecznego poruszania się.

Wczesnym rankiem w niedzielę 9 października 2011 roku na drodze z Poznania w kierunku Wągrowca, koło oczyszczalni ścieków w Koziegłowach, zginął Ryszard Walerych znany w kręgach turystycznych rowerzysta. Mieszkał w Czerwonaku i bardzo często jeździł swoim rowerem po Puszczy Zielonka. Do Wierzenicy, Wierzonki, Karłowic, Ludwikowa czy na Maruszkę przyjeżdżał wiele, wiele razy i pokazywał te miejsca z setkom a może tysiącom turystów. W Wierzenicy najczęściej bywał na rajdzie „Witamy jesień u Augusta Cieszkowskiego", czy kiedy prowadził swoje autorskie wycieczki po Puszczy Zielonka. Cenił wierzenicki kościół i mówił, że zawsze zobaczył w nim coś nowego. W 2011 roku, 24 września na rajdzie „Witamy jesień u Augusta Cieszkowskiego" usłyszał *Ryśku musisz na coś nowego jeszcze troszkę poczekać, ze dwa albo trzy tygodnie i będzie można wejść do odnowionej krypty Cieszkowskich*. On już jednak nie zobaczył jak pięknie została odrestaurowana.

W sobotę 6 września 2014 roku około 80 osób zebrało się o 12.00 na mszy w intencji jego pamięci celebrowanej przez ks. Andrzeja Magdziarza z Kicina przy figurze na Maruszce. Następnie jej uczestnicy udali się w kierunku Owińsk. Tam na skraju lasu (po lewej stronie) stanął upamiętniający go biały rower. Taka jego lokalizacja, nie w miejscu śmierci, ma przypominać wędrującym rowerowym szlakiem łącznikowym R-1 postać Ryśka. Od 17 czerwca 2012 roku szlak ten nosi imię Ryszarda Walerycha.

Ewa J. i Włodzimierz Buczyńscy

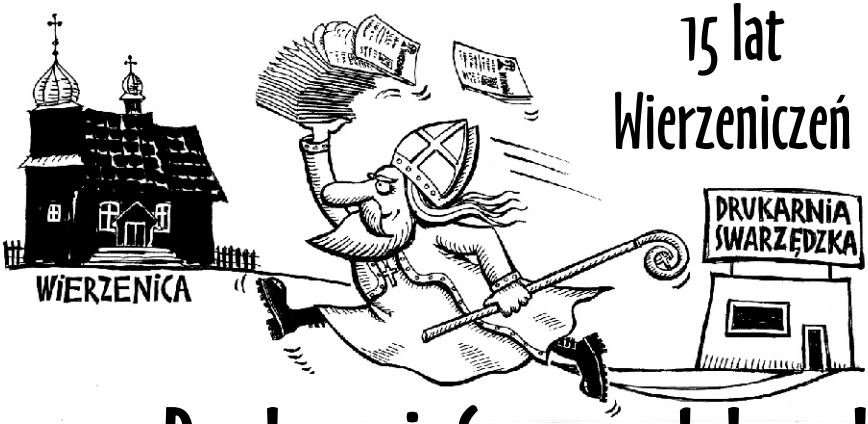

15 lat Wierzeniczeń

www.DrukarniaSwarzedzka.pl

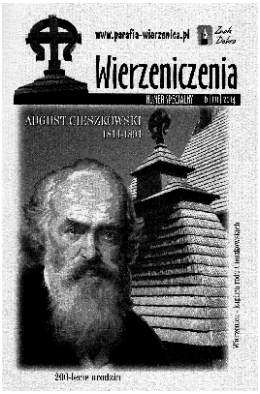

Polecamy wierzenickie hity wydawnicze.

zapytaj w kiosku przy wiacie lub do 2 XI na cmentarzu

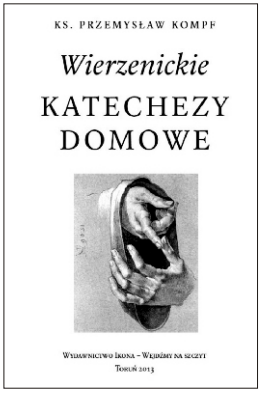

Wierzeniczenia 9 /114/ 2014 Rok XVI

Pismo wychodzące przy Parafii p.w. św. Mikołaja w Wierzenicy

Redagują: ks. Przemysław Kompf, Ewa Buczyńska, Włodzimierz Buczyński, Grażyna Dominikowska, Maciej Dominikowski /red. odpowiedzialny/

fotografie archiwa rodzinne oraz Włodzimierz Buczyński

skład, łamanie i opracowanie graficzne Maciej Dominikowski

adres: Wierzenica 46 * 62-006 Kobylnica e-mail wierzenica@wp.pl

strona internetowa: Weronika i Piotr Pomin

Druk: "Drukarnia Swarzędzka"

www.drukarniaswarzedzka.pl

Stanisław i Marcin Witecki

Swarzędz ul. Pogodna 24 a tel. 061 817 27 64

Znak Dobra

WIERZENICZENIA

LAUREAT NAGRODY DZIENNIKARSKIEJ 2013